NUMER 24. DNIA 12. CZERWCA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Nie żałuję.

Że mi w tę ziemię wrosło serce krwawe,
Że każde drgnienie jej bolesne czuję,
Że przez chłonącą tego świata wrzawę
Zawsze mi dzwoni jedno echo łzawe:
Nie żałuję.

Że od ust moich daleką jest czasza,
Którą nam młodość do uczty gotuje,
Że smutki do mnie mówią: siostro nasza!
Że mię tęsknota pragnień nie przestrasza:
Nie żałuję.

Że duszę moją rwie siła skrzydlata,
Gdzie czystych uczuć potęga króluje,
Że nieświadomie odtrąca brud świata
I wciąż spragniona do słońca ulata:
Nie żałuję.

Że na mej drodze, śród wichru i burzy,
Pogoda szczęściem lic nie pocałuje,
Że mi nie kwitnie żadne kwiecie róży,
Że się po głazach moja stopa nuży:
Nie żałuję.

Że serce moje jak ten liść stargane
Ciągłych zawodów goryczą się kraje,
Że o kamienne krwawiło się ściany
I że przebacza i ukrywa rany:
Nie żałuję.

MARJA MARKOWSKA.

Ruch regjonalistyczny we Francji.

(Dokończenie.)

Słyszymy powszechne narzekanie na plagę biurokracji, na potworny rozrost urzędnictwa (le fonctionarisme). Pod względem materjalnym daje się ona odczuwać w przeciążeniu budżetu, w wygórowanych niepomiernie podatkach; wpływ jej zaś moralny wywołuje jeszcze gorsze następstwa, albowiem rozciągając opiekę urzędniczą na wszystkie objawy życia, zmniejsza ducha przedsiębiorczości, przyzwyczaja ludność do roli biernej. Jakkolwiek w ostatnich kilkudziesięciu latach wytworzył się pewnego rodzaju samorząd, to jednak skutkiem powyżej wskazanych przyczyn jest za słaby, i centralizacja jest zawsze jeszcze posunięta do wysokiego stopnia napięcia. Minister zawsze, jeżeli nie wszechwładnym, to w każdym razie bardzo potężnym jest panem. Łatwo mu wyszukać jaki paragraf, na mocy którego może obalić niemiłe mu postanowienia czy to Rady ogólnej, czy Rady gminnej. Znana jest historja apteki municypalnej w Roubaix, którą reakcyjny minister Dupuy zniósł dlatego, że czyniła szkodliwą konkurencję aptekom prywatnym.

I nietylko decentralizacja administracyjna jest konieczna, lecz również i decentralizacja ruchu umysłowego jest pożądana. W ustroju demokratycznym niepodobna nie uwzględniać odmiennych właściwości ludu, jego nawyknień i pragnień. Jeżeli ludność domaga się, jak się to dzieje w Bretanji i we Francji południowej, ażeby w szkołach ludowych uczono jej dzieci w tym języku, którym posługuje się codziennie, to opierać się temu nie jest rzeczą sprawiedliwą. Nietylko bowiem żądanie to jest naturalnym wynikiem zasady demokratycznej, ale także w zupełności odpowiada wymaganiom pedagogiki racjonalnej. Nauka podawana w małorozumianym

przez dziecko języku, przyzwyczaja je do mechanicznego uczenia się, a skutkiem tego, nie wywiera swego wpływu ożywczego na rozwój umysłu. Często się mówi, że ludność bretońska jest pogrążona w strasznym mroku przesądów. Któż jednak temu winien? Przecież ludność ta wydała ze swego łona takiego Renana, którym się szczyci cała Francja. Jeżeli jest klerykalna, to dlatego, że księża, nauczający w języku bretońskim mają wśród niej większy wpływ i poszanowanie, aniżeli szkoły z językiem francuskim. Mylnem jest także, jakoby nauczanie po bretońsku w szkołach, mogło być zawadą do upowszechnienia się znajomości języka francuskiego. Przeciwnie, im kto na wyższy wstępuje stopień oświaty, tem co raz większe odczuwa jej pragnienie, i w tym przecież celu uczymy się obcych języków. A w każdym razie przykład Szwajcarji dowodzi, że różnojęzyczność nie przeszkadza wytworzeniu się silnego poczucia solidarności państwowej. Tymczasem Irlandja, którą zangielszczono co do języka a nawet w wielkiej mierze co do obyczajów nie przestaje namiętnie dążyć do zerwania wszelkich związków z Anglją.

Lecz może centralizacja sprzyja interesom materjalnym, ekonomicznym? Regjonaliści przeczą temu. Ludność Bretanji i Francji południowej narzeka, że władza centralna nie dba o rozwój interesów ekonomicznych w ich krajach i ażeby naprawić to złe, zorganizowały się tam w ostatnich latach silne stowarzyszenia ekonomiczne. Znowu syndykaty robotnicze, łączą się z sobą w związki, przekraczają granice departamentów i tworzą federacje regjonalne, odpowiadające właściwym ich interesom. Podczas ostatnich bezroboci nad Loarą i na północy Francji domagano się ustanowienia taryf płacy jednostajnej w całym „regjonie“, wprawdzie industrjalnym, ale po większej części te regjony układają się w granicach tradycją uświęconych obszarów. Chcąc zadośćuczynić wygłaszanym nieraz życzeniom klasy pracującej, Millerand, będąc ministrem, wydał dekret, na mocy którego w każdym regjonie industrjalnym, gdzie się okaże tego potrzeba, ma być ustanowiona Rada pracy (Conseil du travail), złożona z przedstawicieli znajdujących się w danym obszarze syndykatów.

Niezaprzeczenie największe korzyści centralizacja przedstawia widokom militarnym. W razie jednak niepowodzenia pociąga za sobą groźne niebezpieczeństwo. „Doświadczyliśmy w okrutny sposób w 1870 r. — powiada jeden z wybitnych regjonalistów, Beauquier — jakie jest to nieszczęście być państwem scentralizowanem. Skoro wróg blokadą zamknął Paryż dokoła, Francja już nie istniała“.

Samo życie wciąga prowincję do czynniejszej roli. Wybory do ciała prawodawczego, do senatu, do rad ogólnych, do rad gminnych, liczne kongresy i zjazdy odbywające się w rozmaitych miastach, wzmogły potężnie tętno życia prowincjonalnego.

Szkoły, stowarzyszenia rozmaite, uniwersytety ludowe, które na prowincji mają o wiele większe znaczenie, aniżeli na bruku paryskim, rozruszały chłopów i Francja chłopska coraz bardziej wydobywa się ku górze. Przynosi z sobą zamiłowanie do swej mowy, pojawia się znaczny poczet poetów, piszących w swym narzeczu. Kto chce poznać życie chłopów normandzkich w całej pełni, w jego szacie codziennej i świątecznej, w tem co ich cieszy i co ich smuci, niech czyta poetę Ludwika Beuve'a; nie dziw, że ma on wielką wziętość w Normandji i zachęca innych do pisania w narzeczu. W Paryżu młodzież uniwersytecka z Normandji wydaje pisemko: „Le Bonais-Jan“. To, co gnębione, było obumarło i zapadło w sen martwy, budzi się i wraca do życia. Chęć bytu samodzielnego staje się coraz powszechniejszą. Przy ostatnich wyborach do parlamentu Francja południowa niemal jednomyślnie zaleciła swoim posłom, ażeby domagali się szerszego zakresu dla samoistności prowincjonalnej. Parlament z coraz większą trudnością stawia czoło temu naporowi. Wreszcie zaczynają przychodzić do steru władzy ministrowie, którzy muszą się rachować z głosem ludu. Wspomniałem poprzednio Millerand'a. Dawniej już Leon Bourgeois na stanowisku ministra oświaty przyczynił się nieco do zdecentralizowania uniwersytetu francuskiego, t. j. dyrekcji rządowych zakładów naukowych. Dzisiaj fakultety prowincjonalne w Tuluzie, Bordeaux, Lyonie, Lille gromadzą coraz liczniejszą młodzież i zaczynają współzawodniczyć z Paryżem. Nawet miejscowym językom zrobiono małe ustępstwo: w Montpelier od lat już kilkunastu istnieje katedra języka prowansalskiego i jego literatury, a przed dwoma laty utworzono podobną katedrę w Bordeaux dla języka gaskońskiego.

Bolesław Limanowski.

ARNE GARBORG.

ŚMIERĆ.

— Hm. —

Wuj mój odchrząknął a około ust jego zarysowało się coś, niby uśmiech.

Siedzieliśmy na ganku w ciepłe, słoneczne popołudnie i patrzyliśmy w ogród.

Opowiadałem mu właśnie o bracie, który martwy i zimny spoczywa w grobie.

— Hu, wujaszku, — wstrząsnąłem się — to musi być strasznie..... to musi być strasznie umierać! —

— Hm — hm — hm — Tak się więc boisz śmierci?

Mizernie bardzo wyglądał wuj, gdy tak siedział w bujającym fotelu, otulony w pledy i futra, chociaż to było wśród lata. Powiadano powszechnie, że był to niegdyś pełen życia, piękny mężczyzna, ale żył podobno nieco „za dobrze“ jak to mówią i obecnie pozostał zaledwie cień tego, co było. Twarz miał żółtą i zapadniętą, oczy duże, martwe patrzyły sennie z pod ciężkich powiek, na okół twarzy i na podbródku rosły włosy kępkami gęstemi, siwemi, tu i ówdzie zmięszane z płatami żółtemi i białemi — nie golił się częściej, jak co sobotę.

Zniszczył go tak rodzaj porażenia; chorował obłożnie całą zimę prawie.

Teraz wysłano go na „świeże powietrze“, aby przyszedł trochę do sił; przyjechał więc do nas. Stąd pochodził, miał tu znajomych a przytem w każdym razie dobrze było mieszkać u doktora.

Starałem się być zawsze przy nim; z dawien dawna byłem zakochany w wuju. On zaś także nie miał nic przeciw mnie, o ile mogę sądzić; wyobrażałem sobie, że pomagam mu zabijać czas własnem próżniaczeniem i plotkami mojemi ze stajni i życia chłopięcego. Miałem wtedy lat piętnaście, czy coś takiego.

Najczęściej siadywał w milczeniu, słuchał tylko, bo trudno mu było mówić. Często brakło mu oddechu a mowę miał niewyraźną i ciężką. Raz w raz odchrząkiwał, ale to niewiele pomagało. Niekiedy zdawało się, jakoby mu język obrzmiał: wyrazy z ust jego wychodziły jakieś grube, stłumione i niby zdrętwiałe. Jeżeli rzadkim trafem, ożywił się, wtedy szło wszystko lżej bez porównania. A wtedy ja cieszyłem się, gdyż sądziłem, że niebawem wyzdrowieje.

— Tak, tak. — To młodość! Wtedy śmierć... wygląda strasznie.

— A ty, wujaszku, nie sądzisz, że przykro jest umierać?

— Nie. — Powiedział to tak stanowczo, jak gdyby od dawna przyszedł do tego przekonania.

Byłem zdziwiony i popatrzyłem na niego pytająco, z wielkiem naprężeniem.

— Śmierć... hm — odchrząknął wuj — wzywa nas... w stosownej chwili... Hm...

Ja... znam się z nią dobrze. Nie jest ona groźna.

— Opowiedz mi o niej, wujaszku... opowiedz... jeżeli nie jesteś zbyt słaby.

— Hm... — Nie ma co tak daleco opowiadać. Hm-hm... Znajdowałem się w niebezpieczeństwie życia dużo razy. Ale... to nie to. To... hm, — gdy do kogo podchodzi śmierć tak blizko, że... widzi się ją tuż, tuż... wtedy zapomina się o strachu.

— Hm! — Pierwszym razem byłem chłopcem może pięcioletnim. Leżałem nad brzegiem potoku — mieszkaliśmy wtedy na wsi — i wybierałem sobie kamyki z wody. Mnóstwo ich tam było... Takie piękne, przeróżne leżały stosami całemi i patrzyły na mnie z tej ciepłej wody. Bawiło mnie to grzebanie w nich.

Jak się to stało, nie wiem, ale w chwilę później... znalazłem się sam na dnie w wodzie. A było mi tak przyjemnie leżeć. Hm. Leżałem na wznak i patrzyłem prosto w niebo, hm; jak gdyby po przez niebieską zasłonę. A tak było niebiesko, połyskliwie a światła tam w górze hm... takie mi się wydały śliczne.

— Było ich więcej, coraz więcej — naokół mnie i coraz, coraz jaśniejsze.

I taki miękki, biały połysk. A tak mi było lekko, jak gdybym zawisł w powietrzu, spoczywał w powietrzu; w miękkiem, lekkiem powietrzu — łagodnem, czystem, przedziwnie jasnem. Nie miałem innego pragnienia... jak leżeć sobie tak i odpoczywać. Hm...

— Ach, jak to musiało być pięknie!

— Hm. Widziałem bardzo daleko, nad sobą, w szerokim kręgu... tylko lazurowe niebo, które przechodziło w biel... w światło białe, coraz bielsze, hm. Drżące, migotliwe, białe światło, gęstniejące, gęstniejące... aż cały świat stał się taką jaśniejącą, białą mgłą. Nieskończone morze, morze chmur, powietrza i światła... A w pośrodku tego morza obłoków leżałem sobie wygodnie. Bardzo mi było dobrze.

Odchrząknął, napił się wody ze szklanki, która stała na stoliczku obok jego krzesła a ja siedziałem cały zamieniony w słuch i drżałem z niecierpliwo-

ści, po oczach jego poznałem, że ożywiał się coraz bardziej.

— A nie dokuczał wujowi brak oddechu? zapytałem.

Potrząsnął głową przecząco.

— Tylko dobrze mi było... bardzo dobrze. Nie odczuwałem żadnego braku. Czułem się tylko tak lekkim. Hm. A wewnątrz tej białej, jasnej światłości... potworzyły się długie, lekkie cienie zielone i brunatne... półcienie; zielone liście, długie, brunatne gałęzie i szypułki, czysto podzwrotnikowe, hm ; las palm... i wijących się roślin... i kwiaty... leśne kwiaty tak wielkie jak miesiąc... dzikie, bujne, dziwaczne, rosnące gromadnie, w półkole lub w długich splotach, hm. Zapewne dostałem się między wysokie trawy, rosnące w rzece, sądzę... między jałowce, wodorosty i inne osobliwości, rosnące na głębinach.

Odetchnął długim, głębokim oddechem.

— A wiedziałeś o tem wszystkiem, wuju?

— Hm. Noo... nie bardzo. Właściwie były to obrazy szkicowane... odbijające się jakoby przez mgłę. Hm.

— Nie wiem, co się dalej działo, pamiętam tylko, że się zbudziłem na kolanach niańki. Ona była bardziej odemnie wystraszona hm; hm... zdziwiłem się. Żal mi było, że już nie jest mi tak miękko, jak tam, gdzie przedtem leżałem... I nieraz jeszcze później przeklinałem tego... chłopaka, że nie zawołał jej o trzy minuty później — byłbym już gotów.

Ostatnie słowa przykro mnie uderzyły, chciałem go pocieszyć. — Ach, dużoś przecie później używał w życiu!

— Używał... uśmiechnął się blado. Uśmiech nie mógł jakoś rozjaśnić całej twarzy, lecz był niemal grymasem i wyglądał dziwnie chorobliwie. U ż y w a ł e m... to nic w porównaniu do ż y ł e m... ale tego ty jeszcze nie rozumiesz.

Biedny wujaszek. Co to znaczy być chorym! — pomyślałem.

Napił się wody i zaczerpnął oddechu. — Żeby tylko nie było dla niego za wiele tego mówienia! przemknęło mi przez głowę.

— Hm... Drugim razem byłem w twoim wieku.

— Było to pewnego dnia pod wiosnę. Śnieg leżał jeszcze, ale za dnia tajało potrosze. Rzeki wezbrały i rozsadziły lody.

— Otrzymałem od ojca pozwolenie z parobkami zwozić siano i słomę do domu z Auroik... Nie mogliśmy już jechać lodem, lecz trzeba było użyć mostu. Wtedy był jeszcze stary most a właściwie żaden most, raczej długa kładka bez poręczy lub czegoś podobnego, deski położone na poprzek na podłożu z belek, hm... Ale wysoki był, aby kry nie porwały go na wiosnę. Szerokości miał zaledwie cztery łokcie, tyle tylko, aby można było przejechać furą.

— Wtedy w czasie odwilży był mokry i oślizły. Sanki czasami zesuwały się tuż na samą krawędź mostu. A pod nim płynęła rzeka duża, wezbrana, z białą pianą. Wspieniona, hucząca, pędziła przed sobą powyrywane kłody i ogromne kry lodowe. Siedziałem na długich saniach i ledwie, że ośmieliłem się spojrzeć w dół.

Bo zdało mi się, jak gdybym patrzył w czarną, ziejącą śmiercią przepaść.

— Hu!

— Hm. Hm-hm. Z powrotem parobcy pojechali naprzód. Ja z bułanym zostałem w tyle z furą słomy. Nie miałem odwagi siedzieć na wozie, jadąc przez most, szedłem z boku za bułanym. Nie bałem się, skoro dobrze poszło w jedną stronę, pójdzie równie dobrze w drugą — myślałem — bułany taki jest mądry, on sobie z pewnością poradzi.

— Pierwsze, najgorsze kroki już zrobiłem — zdawało mi się, że już jestem bezpieczny. Trzymałem się tuż tuż bułanka i wystawiałem na próbę swoją odwagę, w przechodzie patrząc w rzekę, była piękna i zdała mi się potężną zarazem. Skłębiona żółtemi bałwanami, czarna, głęboka a wielkie kry ścierały się krawędziami o siebie lub przewalały się jedne na drugie. Między mną a brzegiem mostu było może dwadzieścia cztery cali.

— Naraz, nie wiem jak się to stało, — lecz wóz znalazł się na przedzie obok mnie a te dwadzieścia cztery cali zmieniły się w dwanaście.... On odetchnął, ja drżałem. — Chciałem się schować u bułanka, wtem fura przechyliła się przednią stroną... Oh, wujaszku! — Troszeczkę, tylko kawałeczuś ale brzeg już był tak wązki, że nie mogłem przejść naprzód. Prr, bułany! — puściłem lejce i chciałem schować się za wóz, wtem przechyliła się i tylna część wozu z...... — Nie! nie! — krzyczałem, chwyciwszy się jego krzesła, — cały wóz ześliznął się jeszcze na cal.... jeszcze maleńki kawałeczek.... i zatrzymał się. —

Odetchnął głęboko i umilkł. Ja trzymałem się kurczowo poręczy fotelu.

— Hm-hm. Nie było wyjścia. Między wozem a brzegiem mostu było tak wązko, że końce moich butów wystawały już nazewnątrz, zdaje mi się. Odwrócony byłem plecami do wozu i poczułem lekki ucisk na ramionach; tak stałem i słuchałem.... ponad pływającemi krami z rękami wyciągniętemi...

jak gdyby zawieszony nad przepaścią, bliski ostatniej swojej godziny. —

— Uff, wujaszku prędzej.

— Wozu nie mogłem się chwycić. Lejce wypuściłem z ręki. Gdybym był wtedy poruszył ręką, drgnął jednym muskułem.... znalazł bym się w rzece bez ratunku. —

Westchnął głęboko. Palce drgnęły, poruszyły się nerwowo, napił się wody.

— Wtedy zajrzałem śmierci w oczy.

— Hm. Wiedziałem, że w najbliższej chwili będę leżał tam między lodowemi krami; tam spadnę, w to miejsce, tam chcę wpaść, nie w sam środek wiru lecz obok; tam będę leżał w najbliższem mgnieniu oka.... Przytomność już mnie poczynała opuszczać.

— Dziwny spokój ogarnął mnie wtedy. Patrzyłem uważnie na miejsce, w które miałem spaść, chciałem się z niem dobrze obeznać.... i nagle zdało mi się ono tak miękkie i przyjemne. Rzeka w tem miejscu zdawała mi się przemieniać w twarz pełną słodyczy.... spokojnej, serdecznej tkliwości. I jak gdyby wielkiemi, wilgotnemi oczyma spoglądała w górę, ku mnie biednemu robakowi, który, tracąc przytomność wisiałem nad brzegiem mostu i zdało mi się, jakoby przemawiała do mnie. Chodź, nie jestem tak zimną, jak się wydaję! —

I cisza we mnie zaległa; świat cały zlał się w jeden wielki szum — byłem gotów. Przyjdę — już idę. Poddałem się i taki mnie ogarnął spokój.

...Świadomość bladła, opuszczała mnie.... wtem między palcami lewej ręki ujrzałem źdźbło. Ah! — Tak.... Nie mam pojęcie, w jaki sposób dostało się ono do mnie, ani też nie wiem, nie mam zgoła wyobrażenia, jak się to stało, że w tej samej chwili odzyskałem przytomność, zupełną przytomność — wyprostowałem się, przycisnąłem do wozu i ostrożnie prześliznąłem się obok niego. Jedyne, co pamiętam, to, że parobcy nadbiegli zobaczyć, co się ze mną stało, ale wtedy byłem już ocalony. —

Odetchnąłem pełną piersią. Wuj wypił całą szklankę wody i uśmiechnął się, zadrgała mu ręka i poprawił się w krześle.

— Hm! — Potem bałem się — bałem się tak, żem cały dygotał.... Ale gdy kto spotka się oko w oko ze śmiercią jest spokojny, pewny siebie i nie boi się. —

Znowu zrodziła się we mnie myśl, że wuj zapewne nie powinien był tak dużo myśleć o podobnych rzeczach i usiłowałem odwrócić rozmowę na nny przedmiot.

— A prawda! — zacząłem — czy wujaszek widział nowego bułanka, kupionego przez ojca — śliczny prawda?

Konie były jedynemi stworzeniami, które go jeszcze interesowały — i wkrótce zapomieliśmy o śmierci a mówili o bułanym źrebaku.

Ale od niego przeszedł do konia, którego sam miał niegdyś i zanim się spostrzegłem, zeszliśmy znowu na temat o śmierci.

Tak prawda, cisawy, tak, hm. Teraz stary już biedak pług musi ciągnąć. Ale w młodości dzielny był, hm. Hm, hm — a przytem był także powodem, że raz jeszcze spotkałem się ze śmiercią.

— Ach, tak; wtedy straciła życie ta panna z teatru; — ileż to lat temu? — Tak pragnąłem posłyszeć jego przygodę a być może, iż i jemu opowiadanie sprawiało przyjemność.

— Ah-hm; ciebie jeszcze wtedy nie było na świecie — zaczął wuj. — Kupiłem go w Danji, była to szlachetna rasa. Hm. Głowę miał najpiękniejszą, jaką widziałem u konia.... a nogi! a co za chód, hm — ale ty się jeszcze na tem nic nie rozumiesz. A jakie uszy! ruchliwe a maluteńkie; tak, tak, tak. Hm. Jeszcze teraz miło mi, gdy sobie go przypomnę. Biedak postarzał się teraz. Skończyło się z nim jak i ze mną. Ano — no.

— Hm. Wróciłem do domu z koniem, jeździłem z nim odtąd co dzień a wszyscy zachwycali się moim Hannibalem. Tej biedaczce, Lizzi, tak się spodobał, że przyszła raz do mnie z żądaniem.... urządzenia przejażdżki.... Ale.... zapamiętaj to sobie, Janie, złe często trzyma się w parze z kobietami. Hm-hm.... Nieznanych kobiet... powinien się człowiek bać... w każdym razie... Hm... w każdym razie.

— No, tak. Hannibal spłoszył się, a największe nieszczęście było w tem, że Lizzi uparła się powozić. Stało się to tak nagle, że zanim mogłem uchwycić lejce i uspokoić konia, weszło jedno koło w przydrożny rów, hm. Wóz na płot i poszedł od razu w kawałki; Lizzi głową uderzyła o róg parkanu.., tha!... tha... Mnie odrzuciło dalej i otrzymałem lżejszą kontuzję ale i ja straciłem przytomność, jedyną różnicą było to, że ja zbudziłem się jeszcze... na tym świecie. Tak! tak. Pozostało mi w pamięci tylko niejasne wspomnienie jakiejś dzikiej jazdy w powietrzu, jakiegoś trzasku, uderzenia, siedzenie i osi wozu widziałem pomięszane w powietrzu... Hm. Nie czułem żadnego bolu. I ona zapewne także nie cierpiała... poznałem to po niej potem. Na twarzy malowało się tylko naprężenie, które nią owładnęło, gdy się koń spłoszył — leżąc

zdawała się jeszcze trzymać lejce. Około ust wyraz silnej woli i pewność, że uda się jej dobrze wyjść z tego wypadku. Hm. Biedactwo! Żal mi jej było niezmiernie. Ale śmierć miała lekką. — Słońce zapadało niżej, coraz niżej. Zrobiwszy sobie z ręki zasłonę, wpatrywałem się w obłoki na niebie. On siedział z zamkniętemi oczyma i patrzał w ogród lub w głąb swojej duszy.

...A teraz, w ostatniej mojej chorobie — ciągnął dalej — byłem już także blizki śmierci. Hm. Wstałem rano, jak zwykle, miałem się właśnie ubierać — gdy w tem podłoga jęła się zapadać podemną... Chciałem się na czemś wesprzeć ale wszystko usuwało mi się... uciekało przedemną... jakaś siła, której się oprzeć nie mogłem, ciągnęła mnie w dół. Byłem więcej zdziwiony i zmięszany, niż przestraszony. Hm. Gdy ktoś pozna, że to jest siła przeciw której niema obrony — staje się zupełnie spokojnym.

— Kiedy się ocknąłem, byłem tylko ciężki... hm, byłem kłodą, która leżała i zapadała się głęboko, coraz głębiej w coś miękkiego i ciemnego... jak ołów — jak ołów ciężki, — biedny, strasznie biedny byłem... każdy nerw mi dokuczał... Ach, taki ciężki byłem a jednocześnie bezprzytomny; łóżko zdawało mi się bujać wraz ze mną, uderzając o coś od czasu do czasu. Hm. Zresztą nie wiele wiedziałem, co się ze mną działo. Czułem tylko ciężkie oszołomienie. Otworzyć oko, poruszyć palcem... ach, ani myśleć! Nie przyszło mi nawet to do głowy, chciałem tylko odpoczywać. Odpoczywać każdą kroplą krwi, każdą komórką, każdą żyłką, każdym muskułem... chyba zapaść jeszcze głębiej w spoczynek, jeszcze bardziej wejść w nicość, zasnąć, zasnąć... tak, żeby dla mnie panowała już tylko noc.

— Hm! hm-hm. Wiedziałem, że nocą tą będzie śmierć ale mimo to pragnąłem jej, pragnąłem z trzeźwym, jasnym spokojem, wiedziałem, że nadejdzie. Wyciągnąć się i umrzeć!... co to za ulga będzie, co za ukojenie... Oto tak wygląda strach przed śmiercią, gdy przyjdzie zupełnie blizko... hm.

— Jeszcze teraz zdaje mi się często, jakobym każdej chwili gotów był położyć się i wyzionąć ducha. — A to jest myśl tak pokrzepiająca.

— Nierozsądnie jest wyobrażać sobie śmierć jako kościotrupa z kosą. Hm; to wymysł księży. Ci ludzie nigdy nie widzieli śmierci. Ona wcale nie jest kościotrupem, to dobre litościwe bóstwo. Mężczyzna czy kobieta. Poważne, blade, surowe na pozór, ale gdy się zbliża, staje się ta surowa twarz łagodną, słodką. A oko jej wielkie, głębokie i pełne współczucia... hm... współczucia.

— Hm-hm. Nie, ona nie życzy nam nic złego. Weźmie nas w miękkie objęcia i utuli do snu. A sen to będzie jasny, świetlany. Kołysać nas będzie w ramionach aż zapadniemy w coraz głębszy... w coraz twardszy sen... A potem nagle rozjaśni się, jak nad ranem, kiedy mgła się rozpierzcha... I oto jesteśmy już w drugiem życiu. —

Wuj skończył mówić a ja leżałem na ganku i spoglądałem w niebo, póki obłoki na niem nie zamieniły się w twarz, która stawała się coraz łagodniejszą, łagodniejszą, im dłużej się w nią wpatrywałem.

Z norwezkiego przeł.

J. Klemensiewiczowa.

MARJA JARMUND. 9)

Nasze ideały w XIX. wieku.

„Człowiek — mówi Stirner w „Jedynym“ (tłum. Artura Górskiego) — w życiu nie ma żadnego powołania, ani żadne zadania nie ciężą na nim, podobnie jak one nie ciężą na żadnem zwierzęciu lub roślinie. Każde z nich u ż y w a tylko wszystkich sił swoich, do spożytkowania świata. To samo niech czyni człowiek... Lubię prawdy, które są podemną, nad sobą nie znam żadnej prawdy, podstawą mojej własnej krytyki jest nie ta lub owa idea, tylko ja sam, m o j e u ż y c i e, mój instynkt, tak jest mój i n s t y n k t z w i e r z ę c y... Co znaczy dobra sprawa? C z y j e s t c o z ł e m a l b o d o b r e m?... Dla mnie egzystuje przedewszystkiem moje ja — po za mną nie obchodzi mnie nic zgoła... Za świętość jest także uważana prawda. Dobro publiczne, prawo, własność, sułtan, małżeństwo, ojczyzna i rzeczy tym podobne. Wszystkie te święte idee grasują po ludziach jako myśli zwarjowane, bo czy warjat wyobraża sobie, że jest Bogiem ojcem, czy też porządny obywatel wmawia w siebie, że jego przeznaczeniem jest być cnotliwym człowiekiem: to w obu razach jest ta sama i d é e f i x e... Jestem jedyny nie do porównania. Nie mam też żadnego człowieczego powołania, żadnych praw i obowiązków względem innych. Mam tylko jedno własne powołanie, być

wszystkiem i mieć wszystko czem być i co mieć mogę. Z garścią siły można zajść dalej, niż z workiem praw. Tęsknicie do wolności. O głupcy. Zdobądźcie siłę, a wolność przyjdzie sama przez się. Patrzcie, kto ma siłę ten stoi po nad prawem! Jedno jest tylko źródło mego prawa — moja moc, moja własna siła. Mam prawo do wszystkiego, do czego mam siłę.“ Nie będziemy rozbierali, dokądby zaszła ludzkość, stosując się do takich anarchistycznych zachcianek. Gdzieby siła jednostki stanowiła wyłączne prawo, tam walka wszystkich z wszystkimi musiałaby trwać bez przerwy i zniszczyć ludzkość rozbitą na wrogie sobie atomy. Dla nas stanowią podobne zasady równą zgubę, jak i obłudne cnoty, gdyż tak jedne, jak i drugie, pracują nad osłabieniem w łonie narodu odporności i poczucia obowiązku. Choć trzeba przyznać niestety, że faryzeuszostwo jest niebezpieczniejsze, niż ta cyniczna ewangelja egoizmu, bo ona wypowiadając walkę moralności i uczciwości i stając zawsze po stronie silniejszego, znajduje jednak niekiedy i słowa protestu przeciw przemocy: „Jednym ze sposobów ujęcia woli jednostki — pisze Stirner — i poddania jej pod wolę cudzą, jest przysięga. Ten tylko ma prawo do mojej prawdomowności, komu je dałem sam, w kim obudziłem dobrowolnie ku sobie zaufanie, kto je na mnie wymusza na moją szkodę, kto przez przysięgę zadaje mi gwałty, niechże będzie wyprowadzony w pole, wraz ze swoim podstępem... Słowo honoru, przysięga, jest ważną tylko wobec tego, kogo ja uprawniam do jej odebrania, kto mnie do tego zmusza, ten otrzymuje nie słowo honoru, lecz słowo wroga — a słowo dane wrogowi nie obowiązuje...“

Istotnie pod tym względem ma słuszność. Przysięga wymuszona gwałtem nawet przez kościół uznana jest za nieważną — choć rozmaici faryzeusze nie chcą się na to zgodzić — równie jak i przysięga złożona na wykonanie zbrodniczego czynu. Gdyby ktoś naprzykład przysiągł, że zamorduje swoją matkę, to zdaje się ma zupełne prawo do lekceważenia podobnego zobowiązania. Naród w niewoli zmuszany do składania wrogowi przysięgi, w której przyrzeka zabijać własną matkę, nie powinien takiego krzywoprzysięstwa uważać za ważne. W ogóle etyka, jakkolwiek korzenie jej tkwią w samej treści natury ludzkiej i dlatego nigdy zniszczoną być nie może, pomimo głośnych dla niej objawów uwielbienia, czci i poszanowania, służy dotąd zwykle nie samej tylko bezwzględnej moralności, lecz stosowaną bywa najczęściej jako kaganiec nakładany na sumienia słabszych przez przemoc. Z tego to zapewnie powodu ludzkość tak powolne i tak małe czyni w niej postępy.

Dzieje się to tem łatwiej, że prawideł ścisłych i bezwzględnych niema i być nie może. Każdy czyn ludzki sądzony być musi nie ze względu na swoją istotę, lecz na pobudki, jakie go wywołały. Jeden i tem sam uczynek może być najpospolitszem łotrostwem albo cnotą i bohaterskiem poświęceniem. Bierzmy jako przykład najcięższą ze zbrodni znanych na świecie, t. j. zabójstwo. Człowiek nie ma prawa odbierać drugiemu życia, pod żadnym pozorem, bo mu go sam nie dał, ani odebranego niewinnie nigdy zwrócić nie może. A więc nikt chyba nie ośmieli się zaprzeczyć, że morderstwo jest straszną zbrodnią potępioną przez wszystkie nawet najdziksze narody, i przez wszystkie prawa karaną. A jednak człowiek napadnięty przez rozbójników, gdy w obronie własnego życia, zabija choćby kilkunastu ludzi, nie może być pociągnięty do odpowiedzialności, bo działał pod przymusem, broniąc się od napaści. Nie ma sądu uczciwego, który by go za to skazał. Moje życie ma dla mnie więcej wartości, niż życie czyhających na mnie ludzi i mam prawo nie dać go sobie wydrzeć, gdyby nawet do tego gwałtownych należało użyć środków. Kobieta zabijąca napastnika w obronie swojej czci, nie jest zbrodniarką lecz bohaterką, to samo można powiedzieć o matce broniącej swe dzieci. Ludzi, którzy z narażeniem własnego życia walczą dla ocalenia bliźnich od napaści, choć ręce krwią zbroczyć są zmuszeni, ogół uznaje za bohaterów i dobroczyńców ludzkości. Słowem obrona usprawiedliwia wszystko. Jeżeli napadam człowieka i zabijam go, to jest ciężką zbrodnią, ale jeżeli go zabijam, broniąc siebie lub innych, to jest czyn szlachetny nawet heroiczny. Co więcej — któż potępi więźnia skazanego niewinnie na dożywotnie zamknięcie, gdy chcąc odzyskać wolność pozbędzie się mocą pilnującej go straży? Kto go nazwie zbrodniarzem, jakkolwiek tu już nie szło o życie, lecz o obronę wydartej przemocą wolności.

Z tego wynika, że nie ma na świecie bezwzględnych cnot i bezwzględnych zbrodni. A wszystko co służy do zwalczania złego i odparcia napaści, choćby niekoniecznie do środków etycznych się zaliczało, może być dobrem i dozwolonem. Jeżeli zaś w życiu pojedynczej jednostki zdarzają się tego rodzaju kolizje, to tembardziej uznać je za możliwe należy, gdy idzie o zbiorowego człowieka, który jest narodem, dla którego ocalenie życia o wiele ważniejszą jest rzeczą, niż dla jednostki. Ludzie, wierząc w życie pozagrobowe dla

swojej duszy, mogą na ziemskie sprawy obojętniej się zapatrywać, niż naród, którego życie zaczyna się i kończy na tej ziemi. Można więc śmiało uznać, bez obawy zgwałcenia kodeksu prawdziwej moralności, że gdzie idzie o obronę życia narodu, tam wszystkie środki użyte do tego celu są dobre, piękne, uczciwe, szlachetne i święte! Ci co nam tego prawa zaprzeczają w imię niby bezwzględnej etyki, to najdzielniejsi z wiedzą lub bez wiedzy sprzymierzeńcy wroga, pragnący uśpić społeczeństwo, ażeby je we śnie łatwiej było dodławić. Moralności zaś prawdziwej żadnej nie przynoszą korzyści, bo gdzie złe i niesprawiedliwość tryumfują, tam etyka upada, a kult przemocy, kult kija i pałki się rozszerza. Umoralnienie ludzkości nie postępuje, gdy słabszemu, gniecionemu i poniewieranemu, któremu wszystkie prawa odebrano, usiłuje się jeszcze wydrzeć jedyną broń, jaką posiada, to jest nienawiść do złego, do „dzieła piekła i szatana“.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Ordery i oznaki zaszczytne w Polsce.* Pod tym tytułem wyszła w Warszawie część pierwsza pracy Henryka Sadowskiego, mającej podać całokształt historji znaków orderowych w dawnej Polsce. Jak wiadomo równość szlachecka nie pozwalała w Polsce na tworzenie orderów, a za Władysława IV nawet nie dopuszczono wprost do stworzenia projektowanego orderu „Niepokalanego Poczęcia N. P. M.“ Zaszczytnemi oznakami dla ludzi zasłużonych były od czasów Zygmunta I. „medale nagrodowe, albo podarunkowe“. Dopiero w wieku ośmnastym, gdy równość szlachecka stała się fikcją, powstaje „Order Orła białego“ w r. 1705 w czasie zjazdu Augusta II. z carem Piotrem Wielkim w Tykocinie, „Order św. Stanisława“ w r. 1765, order zasługi wojskowej (*virtuti militari*) w r. 1792, „Order Niepokalanego Poczęcia N. P. M. kanoniczek Warszawskich“ za czasów Augusta III. i wreszcie medal „bene merentibus“. Order Orła białego i św. Stanisława są dziś orderami rosyjskiemi w zupełnie zmienionej przez cara Mikołaja I., po upadku powstania listopadowego formie, inne zaś, z wyjątkiem orderu kanoniczek warszawskich, zostały zniesione. Order „*virtuti militari*“ zniesiony został w ten sposób, że Mikołaj I. nadał go po upadku powstania listopadowego tym oddziałom wojska rosyjskiego, które brały udział w stłumieniu tegoż powstania, poczem wstrzymał dalsze jego wydawanie. W pierwszej części swojej pracy omawia p. Sadowski szczegółowo historję orderu „Orła białego“ i orderu kanoniczek, jak niemniej wylicza „medale nagrodowe, albo podarunkowe“, podając ich podobizny w cynkograficznych reprodukcjach. Ciekawy jest materjał nagromadzony przez autora, o projektach, które się w kwestji orderów wyłoniły na Sejmie wielkim. — Między innymi domagał się naprzykład poseł Rzewuski, aby zamiast orderów stworzono t. z. „świątynię narodową“, rodzaj narodowego panteonu, w któryby znalazły pomieszczenie popiersia mężów zasłużonych sprawie publicznej, w ściśle określony sposób.

A. N. Nowaczyński: *Skotopaski sowizdrzalskie.* Kraków 1904.

A jednak ma prawo Nowaczyński parzyć rozpalonem żelazem naszych różnie „cenionych“, „znanych“ i „uwielbianych“. Ma prawo, ponieważ odmawiają mu tego prawa. Gdyby go tak ukamienować... Gdyby... Wszystko widzi na opak: za pozwoleniem, czy przypadkiem my nie żyjemy na opak? Nowaczyński ukochał lot wolny i szeroki, podniebny, jasny — a tu dokoła brud. Ponieważ za dużo tego brudu, tych codziennych codzienności, ziewających cnót, blag gazeciarskich... o ideałach niby, za dużo intryg do tego głupich i... małych, więc Nowaczyńskiemu ciasno: niejako krwią mu zachodzą oczy od łez serdecznych, serce dygoce z nadmiernego bólu. Zakrwawionemi oczyma patrzy na świat; głos wołającego na pustyni — to on. Może często przesadza, mści się, ale u nas przesada robi wrażenie, wywołuje (cóż! kiedy głuptawe) kłótnie i oburzenia. A zemsta? Zemsta, to bogów ozdoba.

Przeczytajcie „Skotopaski sowizdrzalskie“, misterne „małpie lusterka“ facecje krwią przesycone — miłe georgiki pasterza trzody literackiej i innej, ale zawsze polskiej. Przeczytajcie i obwiniajcie, ale siebie...

F. Gwiżdż.

ZAPISKI BIBLJOGRAFICZNE.

— Pawlik Stefan, prof. Uwagi o wpływie literatury niemieckiej w XIX w. na gospodarstwo w Polsce. Lwów. 1903. Księgarnia H. Altenberga. 8-ka str. 20.

— Romer Eugenjusz dr. Ziemia, geografja fizyczna ziem polskich. Lwów. Nakł. Macierzy polskiej. 1904. 4-ka, str. 67, z 23 rycinami w tekście.

— Silnicki W. Wrażenia z wystawy w Miechowie. Warszawa, 1904. 8-ka, str. 29.

— Trump. J. dr. Hygjena wieku dziecięcego, opracował dr. Wł. Sterling. (Książki dla wszystkich nr. 146.) Warszawa. 1904. Nakładem N. Arcta. 16-ka, str. 130.

— Vrchlicky Jarosław i inni. Ballady, legendy i t. p. Tłómaczył z czeskiego Konrad Zaleski. Warszawa. 1904. Gebethnera i Sp. 8-ka; str. 196.

— Witkowska Helena. Historja ustroju Polski w zarysie, w trzech częściach. Warszawa. 1904. Księgarnia naukowa. 8-ka; str. 164.

Z drukarni W A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.